Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



Gdy pierwszy śnieg pokryje pustkowie Karpat. Fot. Włodz. Wal. Barański.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

WYCHODZI W KAŻDĄ SOBOTĘ.

Nr. 49 (653). 5 GRUDNIA 1931 R.

O NIEOTRZYMANE NUMERY.

Prosimy uprzejmie o wczesne zawiadamianie nas o nieotrzymanych numerach pisma. Reklamacje będą uwzględniane tylko w ciągu 3 tygodni od daty wyjścia danego numeru.

Niereklamowane numery mogą być odstąpione w cenie 1 zł. za numer, lub o ile są na wyczerpaniu — jedynie w cenie całego rocznika.



Z polowań w Rozhurczu (śniadanie). Fot. Adam Ebenberger.

DAWNE POLSKIE PRAWO ŁOWIECKIE.

W kraju takim jak dawna Polska, gdzie łowy były jedną bodaj z najulubieńszych zabaw królów, magnatów i szlachty — i stosownie do pojęć i obyczajności wieku — musiało istnieć prawo łowieckie, a było ono tak surowe, że dzisiaj patrzymy na nie ze zdziwieniem i niedowierzaniem.

Polowanie z dawien dawna uważane było za objekt zabawy i za obraz wojny. Ta sama dzida, ten sam łuk, które były używane w bitwie, służyły do polowania. Zarówno mitologja, jak i zachowane w tradycji, pierwsze dzieje narodów o łowach myśliwskich, stanowią przykłady i wzory. Czyny bogów i bohaterów podobały się ludziom, a kiedy możni szukali chluby w porównaniu swoich przymiotów z własnościami istot niebieskich lub ludzi sławnych, nie można się dziwić, że Kommod, nie będąc godny porównania się z ludźmi, chciał się równać z Herkulesem, gdy pokonywał dzika z Erymantu i lwa nemejskiego; to też, polując w amfiteatrze, dołączył lwią skórę i pałkę Herkulesa do oznak majestatu.

Na północy zapasy ludzi z dzikiemi zwierzętami dawały daleko więcej przyjemności i sławy niż gdziekolwiekindziej. Ci sami wodzowie, których sławę opiewali Eivind i Ossyan, których czyny wojenne podały nam sagi i pieśni, z jednakową przyjemnością słuchali trąby na wojnie, jak rogu myśliwskiego na łowach. Dawnych szkotów grzebano z takiemi trąbkami i 12 strzałami. Tak np. wódz sławiony w Temorze każe złożyć to myśliwskie znamię na swoim grobie. Sprawne pokonanie zwierza należało do chwalonych przymiotów, a o zabicie jednego dzika dwaj naczelnicy na półwyspie skandynawskim, Ithorna Culgorm i Surand Roule, prowadzili między sobą długotrwałą wojnę. W pierwszej pieśni Catholdy mamy wiadomość o wszczętej wojnie z podobnej przyczyny między naczelnikami dwóch hord północnych. W takich to wyprawach na wojnę i łowy w północnych krajach wylęgały się te formy rządu feudalnego, które przeobraziły Europę południową.

Zwolna polowanie poczęli sobie przyswajać panujący. Hugo Grotius wprawdzie usiłuje dowieść innych przyczyn przyswajania sobie prawa łowów przez panujących, podając umowę ludu z panującym, ale umowy tej nikt nie dostrzeże, natomiast w duchu rządu feudalnego widzimy te wyłączenia, które panujący, jako lennodawcy, sobie zastrzegali. Wreszcie nazbyt dobrze jest znana kwestja prawniczo-historyczna, czy w Niemczech przed Fryderykiem I były *jura forestalia*. Nie trudno dowieść, że wyłączność łowów dla panującego nie była wtenczas rzeczą powszechną, a zatem *jus venationis*, jako *jus regale*, swoje pochodzenie zawdzięcza formom feudalnym. Rząd feudalny wzrastał w porządkowem stopniowaniu. I tak możnowładcy w Anglji sobie tylko zastrze-

gali wolność polowania; kto nie miał stu funtów dochodu, nie mógł polować. Dlatego też uczony angielski Blackstone słusznie powiedział, że do ubicia kuropatwy trzeba mieć dwadzieścia razy więcej dochodu niż do oddania głosu na wybór reprezentantów narodu. Wszystkie surowości praw o polowaniu w Anglji, które w r. 1215 złagodzono nieco, dopiero w r. 1632 naprawdę zniesiono.

Jak surowe były prawa myśliwskie w dawnych wiekach, świadczą przykłady: we Francji na tronie zasiadał Ludwik XII, zwany ojcem ludu, panował Franciszek I, przyjaciel nauk, a polujący bez pozwolenia panującego, karą śmierci był zagrożony. Henryk IV, który w całym świecie cywilizowanym uchodził za jednego z najdostojniejszych i najszlachetniejszych monarchów, jednakże w rozporządzeniu swojem z 1601 r. z uporem opowiada się za karą śmierci na myśliwych. Co więcej, w XVII wieku, kiedy panowali Krystyna i Ludwik XIV, uczony Hugo Grotius z całą powagą musiał przekonywać, że się nie godzi chłopów, nieprawnie polujących, śmiercią karać.

Razem z rządem feudalnym weszły do Polski i formy lennicze. W trzynastym wieku najwięcej wzmianek o prawie polowania znajdujemy w Niemczech i Polsce. Książęcy łowczowie nazywali się *psiarzami*. W oryginalnym układzie między księciem łęczyckim i kujawskim Kazimierzem, a kapitułą kujawską z 4 października 1250 r., czytamy dosłownie: *et venatores nostri qui psiarze nominatur etc.* Była nawet w Mazowszu powinność żywienia psów książęcych pod nazwą *psiarskie.* Dawano wątroby bydlęce dla sokołów, a głowy — dla psów książęcych. W przywileju z 16 maja 1264 r., danym przez Bolesława Wstydliwego kanonikom regularnym w Miechowie, wyraźnie ten haracz im zastrzeżono. Widocznie książęta mazowieccy byli zbyt skąpi w nadawaniu ogólnych przywilejów na polowanie, skoro w bulli Grzegorza XV z 1232 r., potwierdzającej nadania czynione przez księcia Konrada duchownym, zastrzeżono, że duchowni w swoich dobrach tylko na sarny, zające, lisy i wiewiórki polować mogą, wyłączając żubry, rysie i polowanie z sokołami. Metryki litewska i koronna zawierają wielką liczbę przywilejów na polowania, a kiedy na Litwie nadawano wsie, aż do panowania Zygmunta - Augusta dodawano w przywileju: *z łowy zwerynnemi i ptasznemi.* W polskiem prawie łowieckiem dawniejszem, wzorowanem na innych prawach obcych, kłusownictwo chłopów złapanych przy zwierzęciu, karane było śmiercią. Zygmunt-August pozwolił chłopom w r. 1557 w „urządzeniu ekonomjów" polować na własnych włókach na lisy, wilki, rosomaki i zające; natomiast sarny i inne większe zwierzęta w dobrach panującego zastrzeżone były dla niego, przy puszczach zaś nie wolno było chłopom pod karą śmierci posiadać rusznic czyli fuzyj. W drugim statucie z r. 1554 ten artykuł utrzymano. Ale światło cywilizacji coraz bardziej już przenikało do prawodawstwa i urzędów, bo oto widzimy, że podskarbi nadworny koronny Lutonierski zakazał 18 marca 1554 r. oddawać kłusowników kradnących zwierzynę w puszczy niepołomickiej, do sądu, dla ściągnięcia na nich kar kryminalnych, mówiąc: *„Nie chce król jegomość, aby wtenczas, kiedy odkupować można karę śmierci za zabójstwo człowieka, aby wilk lub jeleń miał większą wartość, jak człowiek"*. W czasie rewizji trzeciego statutu w 1578 roku, karę śmierci za kłusownictwo z ksiąg prawa skreślono. Od Stefana Batorego w Litwie i Polsce kłusownictwo uważane było jako wina przeciw cudzej własności, ale nie jako główny występek. Ostatnie w tej mierze polskie prawo z r. 1775 ustanowiło, że polujący na cudzym gruncie, sieci i strzelbę traci i tysiąc grzywien zapłaci.

Główne artykuły prawa łowieckiego w dawnej Polsce brzmiały, jak następuje:

„Polujący w cudzym lesie bez pozwolenia właściciela, zwierzę zabite odda i pieniężne winy zapłaci. Strzelec złapany przy zwierzu, śmiercią karany będzie jak złodziej".

Drugi statut, jak wyżej rzekliśmy, tęż samą karę ponowił, lecz trzeci statut na strzelca polującego bez pozwolenia właściciela lasu, naznaczył sześć niedziel więzienia i dodał warunek, że za cudzą granicę rannego zwierza gonić nie wolno.

Za ubicie żubra, łosia, konia dzikiego, jelenia, sarny, sobola i innych zwierząt wyznaczono ceny.

„Ktokolwiek gniazdo sokole, łabędzie rozrzuci, albo sieć ptasią zniszczy, karany będzie".

„Kiedy kto ma w czyjej ziemi bobrowe gony, ma prawo żądać, aby właściciel tego gruntu ani sam, ani ludziom pozwolił podorać pole, lub karczować sianożęć w odległości jednego rzucenia kija od tego żeremia".

Celem tego prawa było, aby bobry nie były płoszone; jaka to wielka była odległość, którą statut oznacza, trudno rzec, bo odległość rzucenia kijem zależy od większej lub mniejszej siły rzucającego.

„Kto się odważy przynęty ptasze rozrzucić, ptaki odegnać, albo cudzemi siećmi łapać, karany być ma".

W drugim statucie naznaczono większą karę na tych, którzy ptasze przynęty nasmarowaliby dziegciem, lub potarli czosnkiem, albo sieci ukradli. Takie natarcie bowiem odraża ptaki, przeszkadza przemysłowi, zatem podlega karze.

W trzecim statucie dodano, że od święta siódmej soboty, aż do zebrania z pól wszelkiego zboża, na cudzych gruntach polować nie wolno. Siódma sobota oznacza tu siódmą sobotę po Wielkanocy.

Bóbr w dawnem polskiem prawodawstwie był specjalnie chroniony, a płoszący go byli bardzo surowo karani. Było to zrozumiałe, zważywszy, że bóbr, wypłoszony z gonu, traci wszystek przemysł, który w społeczeństwie bobrów czyni go pożytecznym. Im więcej było lasów, a kraj był zimniejszym, ludzie zaś mniej przeszkadzali bobrom żyć w społeczeństwie, tem większa u nas była liczba tych zwierząt. Przywileje z trzynastego wieku zaświadczają istnienie specjalnych urzędników bobrowych nad Nidą i Narwią, nad któremi dzisiaj niema nawet śladu przebywania bobrów. Z istniejącego rejestru, sporządzonego przez *Jaszka de Maków*, dla księcia mazowieckiego Konrada w r. 1229 w łacinie średnich wieków — widać, że te bobrownie były porządne i tak dobierano stada, aby były jednego koloru. Szczególnie za Pułtuskiem

były piękne bobrowniki, w których gnieździło się 251 bobrów jednego koloru. Na dwór książęcy z nich wybrano 10, na sprzedaż — 50, *ad restautiam et prolicationem* reszta. Donosi *Jaszko* bobrownik, że drzewa klonowego wiele im bardzo zostawił, z którego *exhyemationem habebunt.* Skarży się na *Maczka de Gołęczyn,* że przez złość wyjąć kazał żywność bobrów, a kradzież łatwo dostrzegł przez niezapełnienie dziury, czyli nory, którą te zwierzęta na zimę robią; gdyby ten rejestr był dokładniejszym i kilka razy ponawianym, znalazłby ważne materjały uczony Sarazzin do swych wybornych uwag o bobrze, które umieścił w *„Dans les memoires de l'Academie des sciences"* z r. 1704.

Zabranianie przenoszenia bobrów z jednego żeremia do drugiego i niemożność odbierania bobra przez dawniejszego właściciela, podyktowane było tem, że bóbr nie jest domowem zwierzęciem, więc traktowany być winien, jak wszystkie inne leśne zwierzęta; łapaniem tedy bobra w cudzem siedlisku naruszoną jest spokojność społeczeństw bobrowych, a włosność właściciela ziemi.

ADAM CZEKALSKI.

W OSTĘPACH BIAŁOWIEŻY.

(FRAGMENT Z CYKLU „ŁOWIECTWO BATOREGO").

Dokończenie. (Zob. Nr. 48).

Za grubym pniem starego dębu, pamiętającego może jeszcze Jagiełłę, stanął na leśnym, wąskim dukcie król Stefan. Przed sobą miał kilka krzaków gęstej, ośnieżonej leszczyny, a dalej jak okiem sięgnąć, równą prawie jak stół, płaszczyznę zarośniętą zrzadka wysokopienną dębiną. Wszystkie, jakie były, nieznaczne falistości terenu zakrywała gruba warstwa śniegu. Bielił się on niepokalanie pod zalewem promieni rannego słońca i iskrzył miljardami kolorowych światełek.

Przestrzeń między pniami drzew wypełniało przeczyste, mieniące się fioletem, powietrze...

Wiatr ucichł, a las zalegała cisza, ale taka, że słyszało się nawet opadanie grudek śniegu z gałęzi i usuwanie śnieżnego pyłu z suchych liści paproci, rosnącej gęsto wśród drzew...

Nadeszła chwila, jedna z owych, która dając myśliwemu zupełne zapomnienie o troskach codziennego życia, każe mu łączyć się z przyrodą czarodziejską w jedną nierozerwalną całość i tonąć w niej bez końca, aż do zatraty wszelkiej świadomości.

Las właśnie i tylko las i wszystko, co w nim jest, słońce i powietrze, stwarzają ten zaczarowany raj — wśród którego — zda się — łowiec niczego już więcej do szczęścia nie potrzebuje. I gdyby w momencie, gdy tak stoi w cudnej kniei na stanowisku i rozkoszuje się jej powabem, przyszła nagle śmierć i zamknęła mu jak dobra wróżka, ręką oczy, nie przejąłby się strachem przed nią, ani nie miałby do niej żalu za zgaszenie życia.

Król poi się do sytości wszystkimi wdziękami kniei i wchłania pełną piersią jej wonności, bo on jeden ją ocenia i najgłębiej rozumie.

Słyszy rytm swego serca, ale też równocześnie nastawia swoje czujne, długiem łowiectwem wysubtelnione zmysły, na najlżejsze oznaki jej życia.

* * *

Naraz miły go dreszcz przenika, bo oto gdzieś zdaleka, jakby z krańców puszczy odezwał się ton trąbki myśliwskiej, jeden i drugi...

Więc silniej zaciska w dłoni swój krzos ulubiony i czeka...

Wśród dębów widzi już, ale jeszcze nie blisko, kilka dużych ptaków, jak w chyżym locie, wymijając pnie drzew, zapadają na śniegu. Pod własnym ciężarem to toną w nim głęboko, to pomagając sobie skrzydłami, wydobywają się z jego miękkich objęć i kroczą po nim z trudem i z widocznym pośpiechem.

Zaniepokojone gonem, podlatują i znowu siadają, biegną i nadsłuchują. Są już blisko...

Jeden z nich, największy w gromadzie, wzlatuje po krótkim, furgocącym locie i siada na grubym konarze tuż nad królem. Ptak, wpatrzony w niewidzialnego jeszcze wroga, zasłuchany w dziwne głosy, których może jeszcze nigdy nie słyszał i których nie pojmuje, wyciągnął się jak struna, szyję wyprężył do naganki, wachlarz opuścił... Ale snać nie przeczuł bliskiego, a tak groźnego niebezpieczeństwa i nie zauważył czającego się pod sobą człowieka...

Król patrzył przez chwilę na piękną zwierzynę... Złożył się po cichu i celował... Buchnął strzał i głuszec spadł ciężko na ziemię. Strzepnął raz i drugi skrzydłami, zakrył się chmurą śnieżnego pyłu i zastygł w bezruchu.

Aż tu nadlatują inne ptaki, czyni się ruch, słychać szum mocnych skrzydeł. I znowu siada nad królem wspaniały kogut...

Wielki łowiec jednak nie strzela, ale patrzy bystro przed siebie na co innego... Oto widzi najwyraźniej, chociaż jeszcze w znacznem oddaleniu, jakiegoś czworonożnego zwierza galopującego w długich susach w kierunku jego stanowiska.

Wylatujący z pod odnoży, sypki śnieg zasłania pędzącą sztukę i sprawia, że król nie może jej tak rychło rozpoznać. To znika ona za drzewami, to gubi się wśrd paproci, jakby wśród nich wybawienia szukała, to znowu się ze śnieżnej topieli wyłania.

Wnet jednak poznaje zwierza. To ryś wspaniały zdąża wprost na niego w krótkim galopie...

Głuszce zeszły na dalszy plan, a cała uwaga króla i siła jego wzroku skupia się na nowym przedmiocie myśliwskiego pożądania.

Ryś mknie tymczasem dalej i zbacza... Naraz w oddaleniu 50 kroków zatrzymuje się i staje w pozycji, jak zawsze, do skoku gotowej, odwracając głowę w stronę naganki. Krótkie uszy, z ledwie widocznymi

pendzelkami, także w tym kierunku ustawił. I cały lewy swój bok odsłonił...

Już broń śmiercionośna zwraca się wylotem ku niemu, już bystre, ciemne oko szuka oparcia na komorze zwierza...

Rozbrzmiewa wystrzał...

Ryś trafiony śmiertelnie, skacze w górę, spada na cztery łapy i ostatnie tchnienie wydaje.

Rozradowało się oblicze króla, uśmiech szczerego zadowolenia je okrasza. Oczy jego promienieją, podkręca z zadowoleniem wąsa, gładzi brodę.

I chociaż niejeden jeszcze kogut nadleciał i lis-mykita bokiem na bliską metę się przemknął, już monarcha więcej nie strzelił. Miał dość na ten dzień...

Usiadł na stołku, który mu usłużny Isztok, stojący obok za drzewem, podał i czekał na koniec pędzenia.

Jakże się cieszył, słysząc gęstą jeszcze palbę w innej stronie miotu.

Gon się skończył...

Na linję strzelców wyniesiono kilka głuszców, kilka lisów i dużego wilka-basiora. Ubił go oczywiście imć pan Kawęczyński.

Koniec łowów otrąbiono radosną fanfarą na cześć umiłowanego króla i na cześć kniei, jakby w podzięce za jej piękne dary.

Jeszcze słońce stało dość wysoko nad zachodem, gdy szczupły orszak królewski zjechał na zamek myśliwski.

Po skromnej wieczerzy, ożywionej rozgłośnym pogwarem całej drużyny, udali się wszyscy na spoczynek.

Na drugi dzień już równo ze świtem, wstał król, ubrał się szybko do drogi i wyruszył w daleką podróż, śpiesząc do Warszawy na ważne narady z wybrańcami narodu.

Rzeszów.

WŁADYSŁAW GUERTLER.



MOJE SPOTKANIA Z LISAMI.

Łowiecki mój teren Niewikla leży pomiędzy dużymi lasami dóbr Opinogóra i Strzembowo, a chociaż odległość Niewikli od tych lasów jest znaczna, bo pewnie około 10 klm., to jednak zimową porą lisy, przechodząc z jednych lasów do drugich, często w mych zagajnikach się zatrzymują, co zwykle przypłacają życiem; zagajniki w Niewikli są w dwóch oddzielnych kawałkach łącznej przestrzeni około stu morgów. Zagajniki te, nisko położone, o bardzo zwartym, mieszanym drzewostanie, z kilku bagienkami zarośniętemi gęsto trawami, t. zw. rzerzuchą i trzcinami, są ulubioną siedzibą lisów; był rok jeden tak pomyślny, że w ciągu jednej zimy ubiłem w tych zagajnikach siedemnaście lisów, — był to rok rekordowy i przypuszczam, że przynamniej ja, już rekordu tego nie pobiję.— Gdy tylko lis w zimie w Niewikli się pokaże, a nawet, gdy pobyt swój śladami zdradzi, ja i syn ze strzelbami no i z krótkowłosym niemcem na znane stanowiska, 2 — 3 chłopów naganki i zwykle po godzince wracamy z lisem do domu; psa zawsze z sobą biorę, pokładając go przed sobą, bym go miał na oku, i starając się tylko tak stanąć, by pies od strony miotu był zakryty bądź jałowcem, bądź innym niskim krzaczkiem; strzelony często przez gęste krzaki, lis uchodzi raniony, dobry „wszechstronny" dojdzie lisa, udusi i przyaportuje. — Czasami bywa sposób polowania na lisa bardziej urozmaicony. Opiszę więc kilka takich polowanek z sezonu zeszłego. Miałem przy samem podwórku szlak koniczyny, po którym często lisy myszkowały nawet w dzień, szczególniej jeden był tak śmiały, że zbliżał się pod samo podwórze; organizowane, prowizoryczne naganki rezultatu nie dawały, bo lisek, skoro tylko spostrzegł ludzi, wnet uciekał, nie zatrzymując się nawet w zagajnikach; postanowiłem sobie tego mądralę koniecznie upolować, rezygnując z napędzania, które rezultatu nie dawało, pomimo że zajeżdżaliśmy sankami pod zagajniki, by stanąć na znanych przesmykach lisich; wszystko napróżno: jeśli my w zagajniku, — to lis uciekał w pole, i przeciwnie, choć zajeżdżaliśmy na stanowiska zawsze tak, że lis zajeżdżających zobaczyć nie mógł. — Wkrótce pewnego południa w dzień bardzo mroźny, gdy ludzie poszli na obiad i zwykłego ruchu i hałasu w podwórzu nie było, pozostały tam stróż dał znać, że przy samem podwórzu „znajomy" lis chodzi po koniczynie; towarzysza mych polowań, syna mego, nie było w Niewikli, a ja siedziałem przy obiedzie; usłyszawszy dobrą nowinę, ku oburzeniu żony mojej, zrywam się od stołu, chwytam broń i 2 ładunki, i pędem w podwórze; Waldy swej, obawiając się, by z sanek na zawrotach nie wypadła, nie biorę, a szkoda, bo byłaby się przydała; założenie pary lekkich wałachów było dziełem jednej chwili i jazda w pole; za furmana mój pomocnik gospodarczy Trzaskowski; w pośpiechu zapomniał rękawic, a tu mróz kilkanaście stopni, — jedziemy pomaleńku, ale sanki po „srokatem" polu dudnią, lis bacznie nam się

przygląda i choć wcale ku niemu nie jedziemy, a wręcz przeciwnie, chcąc objechać dużem kołem, oddalamy się od niego, zaczyna zdradzać niepokój, po chwili truchcikiem, a później galopkiem, zaczyna się oddalać w kierunku zagajnika; widzę, że źle: nim lisa objedziemy, ucieknie do zagajnika, — więc zaczyna się gra w otwarte karty: ruszamy co koń wyskoczy, by minąć lisa i zajechać mu drogę, — co się nam udało; lis, widząc nas przed sobą, zatrzymał się, chwilę popatrzył, zawrócił i pędem do drugiego zagajnika; znów rozpoczął się szalony wyścig, miejscami po lodówkach, które konie z hałasem łamią, co jeszcze bardziej nastrasza lisa. Lecz młode pół krwi wałachy wyprzedzają, i tak powtórzyły się te wyścigi czterokrotnie; dobrego miałem furmana, — polecałem mu tylko patrzeć na konie i słuchać komendy, — a ja patrzyłem tylko na lisa i stosownie do jego zmian kierunku — komendę wydawałem; po czwartem zawróceniu popędził lis na pola włościańskie i wpadł na ostrą, mniej zawianą śniegiem podorywkę; wiem, że w kierunku, gdzie lis biegnie, jest głęboki rów, przez który nie przejadę; jeśli lis znajdzie się za rowem, to już przepadnie, a więc w konie, sanki po ostrych skibach skaczą, że utrzymać się trudno, Trzaskowski w zgrabiałych od mrozu rękach ledwie lejce trzyma, — wychylam się z sanek i nie mierząc, bo wprost to niemożliwe było, a tylko z rzutu strzelam w kierunku lisa i widzę... Wygrana: lis zwalnia. prawa, zadnia noga strzaskana; robi koło; przechodzi przez rów, zarośnięty olszyną i kładzie się na śniegu, obserwując, co robimy; konie w pianie, zwalniamy na stępa, szukamy lepszego przejazdu przez rów i zajeżdżamy od wsi, by spędzić lisa na grunty folwarczne; przy zbliżeniu się naszem lis się powoli podnosi i mocno utykając, uchodzi; widzę, że i na lewą lis utyka, co chwila kładzie się, my za nim stępa w odległości stu kroków; po chwili spostrzegam, że lis coraz wprawniej ucieka, ruszam więc kłusem, podjeżdżam, zwalniam, chcąc lisa dobić i na czysto pudłuję, — zostaję bez ładunków, — oj, jakby się teraz Walda przydała! Lis po strzale zmienia kierunek i wlecze się w kierunku zagajnika, lecz teraz go zawrócić — to fraszka, pędzę więc go formalnie przed sobą byle od zagajnika i spostrzegam, że naprzeciw jedzie syn drugiemi sankami; wrócił do domu, dowiedział się o lisie i już jest. Lis zobaczył drugie sanki, złożył na bok i przywarował w bruździe; jadę do syna, wołam o ładunek, no i lis mój, myślę. Jeszcze biedak ruszył, ale objeżdżamy teraz sankami z dwóch stron; wkrótce się znów położył w pobliżu podwórza i w miejscu, gdzie rozpoczęła się gonitwa, został dostrzelony; okazało się, że miał zadnią prawą wysoko strzaskaną i z tegoż strzału lewa przednia w mięśnie przy łokciu trafiona, — zdrowe nogi miał tylko na krzyż i pomimo to, tak długo uchodził; emocyj w wariackiej jeździe było bez liku, ale i przyjemność ogromna z upolowania mądrali; całe to polowanie działo się na oczach licznych spektatorów obserwujących z podwórza wyścigi koni z lisem. Naturalnie, gdyby sanna była dobra, turkotuby nie było i lis łatwo dałby się objechać.

A teraz kilka spotkań z lisami, bez narażania się na złamanie ręki lub nogi, ale również pełnych emocji; głównymi tu bohaterami dwa sympatyczne, czarno podżare jamniczki: Rydel i Zulka; muszę Szanownym Czytelnikom zaprezentować tych podziemnych, ale nie cichych, jak to się mówi, lecz owszem bardzo głośnych bohaterów, bo leźć w głęboką, ciemną norę, gdzie lis lub cięty borsuk czeka i tnie pyszczki, rozrywa uszy — to prawdziwe psie bohaterstwo. — Skąd mam Zulkę — historja długa: idąc w Warszawie ulicą Smolną, spostrzegłem bardzo rasową jamniczkę od szczeniąt, prowadziła suczkę na smyczy służąca, zapytałem, czyją jest własnością ta śliczna jamniczka i czy nie mógłbym nabyć szczeniaczka, dowiedziałem się, że suczka jest własnością znanej artystki teatru, pani Przybyłko - Potockiej i że szczenięta mają już przeznaczenie; niezrażony tą odpowiedzią, po powrocie na wieś napisałem uprzejmy list z zapytaniem, czy nie mógłbym jamniczka nabyć, otrzymałem list z przychylną odpowiedzią i wkrótce w prezencie dwie jamniczki, żółtą i czarną; żółtą ofiarowałem znajomej pannie, a czarną zatrzymałem dla siebie i nazwałem Zulką. Rydel był mi pożyczony przez sąsiada, był już wprawiony do jamy, cięty, ale miał wadę, a rzeczywiście zaletę, że wciąż uciekał w stronę, skąd pochodził; raz mi zginął, widocznie w tej ekskursji go ktoś złapał, gdyż po ogłoszeniach po wsiach po trzech dniach, sam wrócił do Niewikli. Gdy Zulka miała już drugi rok, trzeba było pomyśleć o jej edukacji na serjo; poprosiłem więc swego dalekiego sąsiada, pana Zdzisława Popkowskiego, znakomitego myśliwego i lisiarza, by zechciał Zulkę wziąć na „lisią praktykę". Propozycja moja, dzięki wrodzonej uprzejmości p. P., była przyjętą i niebawem Zulka w towarzystwie jamników sąsiada poznała się w norze z lisimi zębami. Gdy po dwóch tygodniach pojechałem do p. P., dla podziękowania za okazaną mi uprzejmość i dla zabrania suczki, dowiedziałem się, niestety, że Zulka rokuje słabe nadzieje na dobrą, jak niemcy nazywają, „Fuchssprengerkę", gdyż cięta przez lisa w jamie, z ogromnym lamentem z niej wypadła, najmniejszej nie zdradzając ochoty do powtórnego odwiedzenia tak niegościnnego gospodarza.



Na Kruhlaku w Zełemiance 29.IX w śniegu pół m. głębokim. Fot. St. W. Orski.
(Zob. Kron. Myśl., str. 1000).

Za bytności w Kaczorowach, tak się nazywa siedziba p. Popkowskiego, nie omieszkałem obejrzeć tej, tu wzorowo urządzonej fermy hodowlanej zwierząt futerkowych: lisy srebrne, nutrje, piżmowce, wreszcie wartościowsze króliki czują się, jak na swobodzie, tak wygodne mają pomieszczenia i tak troskliwą są otoczone opieką panów Popkowskich — ojca i syna.

Gdy, zabierając Zulkę, wyjeżdżałem od gościnnego gospodarza, wprost zaskoczony byłem wyjątkową uprzejmością p. Popkowskiego, który w sezonie godów lisich, a zatem najintensywniejszego polowania z jamnikami, bo działo się to w lutym, ofiarował mi się dla dalszej nauki Zulki pożyczyć swego dobrego pieska Rydla; serdecznie podziękowawszy gospodarzowi, pełen otuchy, że dobrze pójdzie, wróciłem już z dwoma jamnikami do domu; niepokoiło mnie tylko proroctwo wytrawnego lisiarza, że Zulka tchórzliwa będzie, a jamnik tchórzliwy może być tylko psem pokojowym, — dla myśliwego zaś nie ma wartości żadnej.

Zaraz po paru dniach trafiła się okazja wypróbowania piesków; dano mi znać, że w zagajniku jest lis w norze, więc psiaki na sanki, na drugie — Trzaskowski z 4 chłopakami, ze szpadlami, i po paru minutach jesteśmy w zagajniku; nory mają kilka wylotów, śnieg w nocy trochę przyprószył, wyraźnie widać trop wchodowy; obchodzę wszystkie wyloty, robię koło dookoła jam w oddaleniu, wyjściowego śladu niema, — a zatem lis w norze pewny; każę spuszczać pieski z obróżek, Rydel obwąchuje ślad lisa i powoli w norę wchodzi; Zulka węszy, ale zatrzymuje się przy wejściu do nory. — O, źle! myślę sobie, nie wejdzie; sympatyczna psina przekrzywia łebek i nasłuchuje, co się w norze dzieje; szczuję: „weź go"; Zulka przekrzywia znów łebek, patrzy w górę, prosto mi w oczy, z miną, wyrażającą: „ajakże, nie głupiam, sam weź go". Po chwili zmiana; odezwało się w głębi nory ujadanie Rydla. Zulce na krzyżu sierść się zjeża, i w jednej chwili z jazgotem ginie w norze; słychać walkę podziemną i wyraźnie odznacza się od grubszego szczeku Rydla dyszkancik Zulki; stoimy cicho z gotowemi do strzału fuzjami; a nuż lisa wypchną; Trzaskowski, leżąc z uchem, przyłożonem do ziemi, wskazuje tylko palcem, w którem miejscu walka się toczy; lecz coraz inne miejsce wskazuje, — widocznie pieski nacierają, a lis uchodzi. Stare nory piętrowe; czasem lepiej słychać szczekanie, czasem tylko w głębi, jakby dudni. Po dobrej półgodzinie słyszymy, że tupot się zbliża; a może to lis wyskoczy? Chwila oczekiwania, wyłażą pieski; z przyjemnością widzę, że Zulka ma łebek pokiereszowany, całe ucho zafarbowane, — chcemy psiaki połapać, by je lepiej obejrzeć, — nie udaje się, — pieski wymykają się łapiącemu i z powrotem do nory; no, myślę sobie, proroctwo wygi-lisiarza się nie sprawdza: Zulka będzie bardzo dobra; podziemny koncert znów się zaczyna, czas dłuższy w tem samem miejscu; postanawiam kopać, oskardami rąbią zmarznięty wierzch ziemi, — idzie tępo, ale chłopcy zachęceni słowami: „jak będzie lis wykopany — butla sznapy", zdwajają tempo uderzeń i wkrótce dostajemy się do niezmarzniętego piasku; żwawiej idzie robota, — szpadel wpada głębiej — nora: „ostrożnie, byś psa nie skaleczył!"—dokopujemy się do Rydla, leży w ciasnej norze na boku i ujada wciąż zawzięcie; mając norę trochę rozkopaną, doskakuje; widoczne, że lis tuż przed nim siedzi; postanawiam wziąć lisa żywcem; kopiemy więc drugi otwór-skrzynię, w odległości 2-ch łokci od wykopanej, w zamiarze przecięcia nory za lisem, i tak szczęśliwie trafiamy, że dokopujemy się do Zulki, która też zawzięcie oszczekuje, — co się okazało? Przy licznych rozgałęzieniach nory pieski tak zaszły, że w ciasnej norze mają lisa między sobą; Zulka ma łatwiejsze zadanie, bo skubie lisa przeważnie za ogon, Rydlowi przypadła w udziale zaszczytniejsza czynność, bo atakuje z frontu, — Rydlowi grożą ostre zęby lisa, Zulce — najwyżej atak gazowy; my też uważamy, że bezpieczniej dobierać się do lisa ze strony wybranej przez Zulkę; wyciągamy Zulkę, która wprost z rąk się wyrywa, i rozkopujemy norę w miejscu, gdzie Zulka była; Rydla zachęcamy do energiczniejszego ataku, by lis nie spostrzegł, co się za nim dzieje; Rydel doskakuje, a po chwili Trzaskowski za zadnie nogi wyciąga lisa i wrzuca w podstawiony worek. Polowanie skończone, lis w worku leży na ziemi, pieski tarmoszą go zajadle przez worek; wszyscy zadowoleni, że polowanie z rezultatem; po powrocie do domu, dokładniejsze oględziny lisa: trzy ćwierci ogona z futra obdarte, pozostał tylko cienki szpikulec, więc tę część obdartą kurtyzujemy, a że wzięta do niewoli okazuje się liszką, pod świeżem wrażeniem bytności w Kaczorowach postanawiam liszkę chować, by dać zaczątek hodowli chociaż pół krwi srebrnych lisów; polecam zamknąć liszkę w pustej izbie, w śpichrzu, gdzie okienko, dość wysoko umieszczone, zabijają starą arfą od młynka.



Koleba w Zełemiance 26.IX. Fot. St. W. Orski.
(Zob. Kron. Myśl., str. 1000).

Po tej pierwszej próbie byłem już pewny, że Zulka będzie doskonałą, użytkową jamniczką, a drugie spotkanie z lisem w zupełności pewność moją potwierdziło; to drugie spotkanie było prawie identyczne z pierwszem, już więc tak szczegółowo go nie opiszę; dano znać, że lis jest w zagajniku; wziąwszy 2-ch chłopców na nagankę, poszedł syn spróbować szczęścia, lecz po pewnym czasie przysłał z wiadomością, że lis skrył się w norze; w parę minut byliśmy na miej-

scu. Zulka, trzymana na ręku, przy podejściu do nor, formalnie wyrwała się trzymającemu, skoczyła na ziemię i momentalnie znikła w norze, Rydel, naturalnie, za nią; ponieważ oszczekiwanie dłuższy czas trwało w jednem miejscu, zaczęliśmy kopać, źle jednak utrafiliśmy, bo przekopaliśmy obok psów; słyszeliśmy w wykopie ujadanie tak, jakby za ścianą, w drugim pokoju; niecierpliwy Trzaskowski, który się ogromnie do tego rodzaju polowania zapalił, wyrwał jednemu z chłopców szpadel i zaczął podkopywać zmarzłą powierzchnię ziemi, chcąc z boku dokopać się do psów; kopanie takie nie powinno się odbywać, bo przy dalszem kopaniu grozi oberwaniem się ziemi i zasypaniem podkopującego; ponieważ był dość szeroki pas ziemi między psami a wykopaną skrzynią, doszło do tego, że Trzaskowskiemu widać było tylko nogi; zawdzięczając dobrze zmarzniętej powierzchni ziemi, oberwanie się jej nie groziło, i wkrótce Trzaskowski do psów się dokopał. Co się okazało? Psy zapędziły lisa w tak zwaną ślepą norę, gdzie już cofać się nie mógł; tak przypartego trzymały psiaki z jednego boku za tak zwane baki; lis z przymkniętemi oczami wyglądał jak martwy, ale tylko się tak zataił; chcąc wziąć lisa, jak poprzedniego, żywcem, podkopaliśmy trochę norę z tyłu, i już wyspecjalizowany Trzaskowski chwycił go tym razem za ogon, i lis znów powędrował do worka, by zostać towarzyszką, bo i to była liszka, poprzednio złapanej Ta druga liszka była mocno przez psy poturbowana, — ledwie chodziła Pierwsza liszka była jakoś mniej dzika, robiła wrażenie już trochę oswojonej, choć nie w całem tego słowa znaczeniu; przy wejściu do izby, nie biegała jednak jak szalona, lecz, usiadłszy w kącie, bystro obserwowała wchodzących. Jakież było moje zdziwienie, gdy pewnego poranku pisarz podwórzowy oznajmił mi, że kusa liszka uciekła; arfa druciana, którą zabite było okienko, przedziurawiona, dwumilimetrowy, co prawda, przerdzewiały drut na sieczkę był ścięty; wygryzionym otworem liszka powędrowała, pozostawiając na pamiątkę kłaki sierści na ostrych końcach drutu w otworze. Pamiętajcie, myśliwi z Płońskiego i okolic, że jeśli kto zabije liszkę z ćwiercią ogona, to jest moja wychowanka; bardzo byłoby ciekawe, gdzie ta liszka zginie?

Po tej ucieczce pisarz, pod którego opieką były lisy, zapewnił, że ta druga to już nie ucieknie, już on tak zrobi, że teraz to będzie więzień pewny. Kazał kowalowi ze starych obręczy od kół zrobić kratę i przybić do futryny; pewnie tej kracie i niedźwiedź by nie poradził; trwało to dopóty, dopóki liszka się nie wyreparowała po psich szczękach; jak tylko mogła później wskoczyć na murek w okienku, nie chciała próbować zębów na grubej kracie, a wygryzła nadpróchniałą futrynę i powędrowała śladem pierwszej; nadzieje na hodowlę prysły, a choć poczciwy Gajewski obiecywał, że teraz to już tak zrobi, że najmądrzejszy lis nie ucieknie, to ja już z projektowanej w ten sposób hodowli się wyleczyłem i przyrzekłem sobie wykopanych lisów nie oszczędzać.

W początkach kwietnia, w piękny dzień słoneczny, chodząc po podwórzu, dojrzałem daleko na otwartem polu myszkującego psa; wróciłem do domu, a wiedząc, że w gołem polu pies-kłusownik blisko mi podejść nie da, wziąłem winchestera i jamniki dla spaceru; gdy pies mnie tylko spostrzegł, uciekł, nawet na strzał kulowy nie dopuszczając; skręciłem więc do zagajnika pobliskiego, by zobaczyć, czy lisów nie znać przy norach; zaszedłem do tych nor, gdzie lisów nie odkopywałem; nadaremnie — nic nie było znać; w wylotach nor lodówka jeszcze, przez lisy i zające dawniej zdeptana, świeżego śladu dojrzeć nie mogę; w tych norach są tylko trzy wyloty w bliskiej odległości od siebie; spuściłem psy z obróżek; te ledwie weszły do nory, głośnem ujadaniem znać dają, że lis w norze siedzi; oszczekiwały tuż przy wyjściu; stanąłem cichutko pod chojakiem, licząc, że z obu mało rozgałęzionych i płytkich nor pieski lisa wypchną; po półgodzinnem oszczekiwaniu, gdy zauważyłem, że walka posunęła się w głąb nory, przypuszczając, że psy zapędziły lisa znów w ślepą norę, skąd go nie ruszą, zdjąłem wierzchnią kurtkę i marynarkę, zatykając dwa wyloty; trzeci otwór, którym psy weszły, pozostawiłem niezatkany; wiedząc, że koło podwórza wożą kartofle z kopca, wybiegłem z zagajnika i począłem nawoływać, by który ze znajdujących się przy kopcu, ludzi podbiegł do mnie, ale napróżno; zniecierpliwiony, strzelam raz, — strzał przechodzi bez wrażenia, — „pewnie ta dziedzic w Wydertusie (tak zwą zagajnik) strzylo, to lepiej, bo nie nadyndzie"; strzelam więc znów raz po raz czterokrotnie, nareszcie! Podnoszą się, a widząc mnie bez kurtki, przypuszczają, że się coś stało, podbiegają; wołam: „pana Trzaskowskiego i chłopaków ze szpadlami"; zrozumieli, wracam więc do zagajnika, biegnę kłusa, byle do nor, już dobiegam i widzę wyskakującego lisa z niezatkanego otworu, a za nim psiaki, — całe to towarzystwo wali prosto pod nogi, a ja, jak na pośmiewisko, ze sztucerem, ale z wystrzelanym magazynem; lis, zoczywszy mnie — w bok, kitą machnął, tyle go widziałem; nieprawdopodobnie prędko nadjechała pomoc, wkrótce i psiaki powróciły; chciałem już wracać do domu, lecz Trzaskowski mnie namówił, by jeszcze pieski zapuścić; poszły chętnie i wkrótce zaszczekały; zaczęto kopać, dokopując niebawem do szerokiej nory, gdzie znaleźliśmy psy nad 7-ma maleńkimi, 2 — 3-dniowymi liskami, wszystkie miały świeżo porozgryzane łebki; aczkolwiek to szkodniki, lecz żal mi było tych maleństw. Z niesmakiem powróciłem tego dnia do domu, a była to już ostatnia moja wyprawa na lisy w tym sezonie polowania.

TADEUSZ ABRAMOWICZ.

Niewikla.



ZAJĄC SAMOBÓJCA.
(WSPOMNIENIE).

Zupełnie niesłusznie utarło się mniemanie, że największymi łgarzami są myśliwi. Naturalnie, ktoś z myśliwych czasem skłamie, lub jakieś zdarzenie łowieckie upiększy fantazją, ale, według mego zdania, inni kłamią lepiej, a co najważniejsze, kłamią złośliwie i kłamstwem swem szkodzą bliźnim. Jak to zauważyć było można z biuletynów ostatniej wielkiej wojny, większymi łgarzami od myśliwych byli naczelni dowódcy walczących armij, a już przeszli w kłamstwie wszystkich łgarzy, agitatorzy w czasie ostatnich wyborów do Sejmu. Ci skromni ludzie, bądź co bądź, otrzymać powinni za łgarstwo palmę pierwszeństwa. Ale trudno, myśliwy zełże czasem dla przyjemności ubawienia innych, dowództwa armij musiały łgać, aby podtrzymać męstwo walczących, agitatorzy zaś kłamali, aby żyć i wyżywić swoje rodziny, i to ich kłamstwo uprawiane w celu podtrzymania gatunku łgarzy, musi im być wybaczone.

Kłamać nie lubię, bo obawiam się śmieszności, a łgarstwo myśliwskie, uprawiane przed myśliwymi, i to myśliwymi wytrawnymi, zawsze jest śmieszne.

Skromne więc moje wspomnienie, które poniżej opisuję, aczkolwiek trochę na łgarstwo zakrawa, łgarstwem nie jest.

W Suchodole u p. Jana Złotoustego K. odbywało się doroczne polowanie. Właśnie skończono polny miot i gospodarz zapraszał na śniadanie, które służba szykowała pod lasem. Zjazd, z racji imienin lubianego w okolicy, p. Jana K., był duży. Myśliwi schodzili się pod las, gdzie już dymiły ogniska, parował w kotle bigos, a pokojówka p. Jana, niezupełnie nadobna Kasia, rozstawiała i przecierała talerze.

Było mroźno i mglisto. Las zasnuty mgłą, przez którą przeświecało słońce, wyglądał malowniczo. Cicho było i uroczyście, ani jedna gałązka na sosnach nie drgnęła, tylko w lesie wrzeszczały sójki, a od strony wsi słychać było szczekanie psów i podźwięki janczarów u sanek. Przybywał spóźniony gość. Był to p. Edward, właściciel większego majątku w okolicy, śliczny chłopak, ubrany w bogatą dachę, którą zrzucił na sanki. Przybyły zaczął przepraszać za spóźnienie, tłumacząc je interesem w powiecie, którego załatwić nie mógł, gdyż naczelnik powiatu był na polowaniu. Pan Edward wydobył z sanek cztery kuropatwy, które, jak mówił, ubił z sanek po drodze. Jeden z myśliwych, wysoki drab, ubrany w wyszarzaną bisiurę i ogromne, wojłokowe buty, który łakomie do tego czasu spoglądał w stronę kotła z bigosem, podszedł do spóźnionego gościa i nudnym, mentorskim tonem zaczął dowodzić, że nie godzi się strzelać kuropatw na śniegu, gdyż jest to nie po myśliwsku. Myśliwi potakiwali drabowi, lecz z min ich widać było, że gdyby który z nich zjechał po drodze stado kuropatw na strzał, nie wytrzymałby i palnąłby do nich napewno. Nie można było ręczyć, czy i ów drab, którego tu tytułowano dyrektorem, nie zrobiłby tego samego.

Bigos był już gotów, i gospodarz odkorkowywać zaczął butelki, lecz nie napełniał kieliszków, gdyż z ostatnich stanowisk nie nadeszli jeszcze myśliwi, których głosy słychać już było. Byli to aptekarz Grzesikiewicz, komornik Wolski i urzędnik pobliskiej cukrowni Zbisław Wiciński. Wiciński był znanym łgarzem w okolicy. Obełgiwał wszystkich: swoich zwierzchników, swoją żonę, dzieci, sąsiadów i przyjaciół. Łgał z amatorstwa, łgał tak, że sam już nie wiedział, gdzie jest granica jego kłamstwa, i często wierzył święcie w to, co skłamał.

Słychać było głosy i śmiech Grzesikiewicza i Wolskiego, którzy kpili z Wicińskiego. Wiciński dowodził, że strzelał w ostatnim miocie do lisa. Grzesikiewicz zaś z Wolskim twierdzili, że był to zając, kpili przytem z Wicińskiego i przypominali mu dawne jego łgarstwa. Zapieniony Wiciński dowodził, że lis, do którego on strzelał, wpadł silnie ranny do lasu, gdzie po śniadaniu miał być robiony miot, i że tam go znajdzie naganka, której obiecywał za to jakieś bajońskie sumy.

Śniadanie było smaczne, bigos, oblewany obficie różnego rodzaju trunkami, znikł z kotła, naganka, nakarmiona i napojona, zaczęła powoli zajmować miot. Humory były wyśmienite, a gdy jeszcze gospodarz, który słabo mówił po rosyjsku, zwrócił się do naczelnika powiatu, proponując wypicie kieliszka wina, i zamiast „Lew Nikołajewicz", powiedział do niego „Wołk Nikołajewicz", wszyscy, nie wyłączając samego Lwa Nikołajewijcza i owego posępnego draba, tytułowanego dyrektorem, wybuchnęli tak szalonym śmiechem, że aż naganiacze, którzy już dosyć daleko odeszli, zatrzymali się, zdumieni i zgorszeni hałaśliwem zachowaniem się myśliwych w pobliżu zajmowanego miotu.

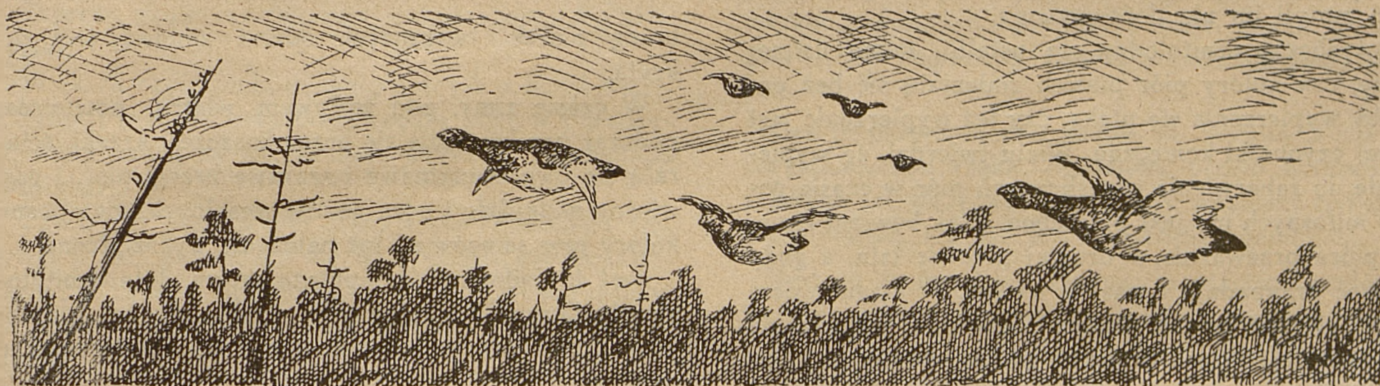
Poczęto ciągnąć numery i rozchodzić się na stano-

wiska. Ów spóźniony gość, p. Edward, wyciągnął numer pierwszy. Służba pakowała pośpiesznie naczynia i uprzątała ślady śniadania. Pan Edward stanął na stanowisku, nabił strzelbę, odprowadził kurki, a że po spożytem, obfitem śniadaniu, zmuszony był rozpiąć garderobę, oparł strzelbę o niski krzak jałowca, zapominając, że kurki były odprowadzone. Naganka jeszcze nie ruszyła. Pan Edward, obrócony tyłem do miotu, usłyszał nagle strzał. To jego strzelba, którą niebacznie oparł o krzak, wypaliła, a przed lufą leżał rozerwany na pół zając. Widocznie ów postrzelony przez Wicińskiego zając, którego on awansował na lisa, ruszony przez nadchodzącą nagankę, wpadł na opartą o krzak przez p. Edwarda strzelbę, która, zawadziwszy cynglem o gałązkę w krzaku, wypaliła, zabijając zająca, mimowolnego sprawcę wystrzału. Był to więc zając-samobójca, który, jak dowodził Grzesikiewicz, szukał sam śmierci z rozpaczy, że dał się postrzelić takiemu fuszerowi, jakim był Wiciński.

Polowanie szło dalszym trybem. Jeszcze przy księżycu zrobiono ostatni miot w stronę wsi, naturalnie, bez skutku. Wieczorem pito na umor, a Wiciński, który, jak na złość, nic tego dnia nie zabił, był przedmiotem drwin i kpin. Lecz nie obrażał się, bo, obdarzony niepoślednim dowcipem, łgał dalej, żartując z siebie i z innych.

Od czasu tego polowania dużo wody upłynęło, dużo uczestników tego zdarzenia już w grobie, dużo zmiotła wojna, a ci, którzy żyją jeeszcze, pamiętają szumne i wesołe polowania u p. Jana Złotoustego K., które stale odbywały się w dniu 27 stycznia, t. j. w dniu imienin gospodarza, no i wspominają zapewne historję z zającem-samobójcą.

S. R.



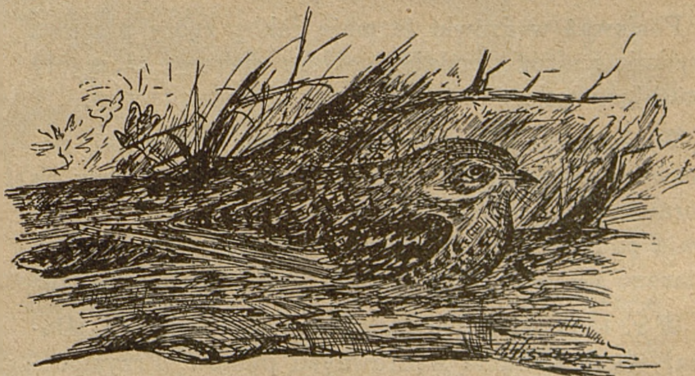
NIECO O OCHRONNYCH BARWACH PTAKÓW.

Przeważnie każdy gatunek ptaków w większej czy mniejszej mierze przystosowany jest kolorem upierzenia do swego otoczenia i warunków życia, pośród jakich przebywa, poluje lub innym sposobem zdobywa chleb powszedni. Widzimy np. już u pospolicie znanego lelka kozodoja, jak tam harmonizuje zlew kolorów w jego delikatnych piórkach; to też ptaka tego, siedzącego na tle szarej ziemi lub ciemno-brunatnej kory drzewa, nawet wprawne oko niełatwo zauważy. Pozatem myśliwi najlepiej wiedzą, jak trudno zauważyć stado kuropatw przyczajonych przed wystawiającym je wyżłem na ściernisku lub podórce.

Tak samo ukrytego w listowiu stada małych, brazylijskich papużek, gołem okiem tak trudno bywało mi odróżnić, że dopiero dobra, pryzmatyczna lornetka, podczas badania nieomal listka po listku, odkrywała cicho i nieruchomo siedzące ptaki, które kolorem, a nawet „skulone" siedząc, — kształtem ciała podobne są zdala do otaczającego je listowia.

Niektóre zaś ptaki podczas takiego milczącego przyczajania się przybierają szczególne kształty, tak np. bąk (Botaurus stellaris Bp.) stanie w trzcinie pionowo ze zwróconym ku górze dziobem, przypominając wówczas stary, zmurszały kołek; bażant przyczai się tak na órce, że podobny jest raczej do kamienia lub grudy; dudek przy zbliżaniu się jastrzębia, rzuca się na ziemię z rozpostartemi skrzydłami, i przypomina wówczas leżącą, jaskrawo ukoloryzowaną szmatę; krętogłów, siedząc w dziupli na jajkach, wyciąga szyję na kształt węża, wysuwając przytem swój wązki język, i często udaje mu się odstraszyć nieproszonego gościa, takiego nawet, jakim jest krwi chciwa kuna; łyska i kaczka często nurkują pod powierzchnią wody, wytykając potem gdzieś nieznacznie pół głowy, i za kłębkiem trzciny lub liściem grzybienia, cicho obserwują prześladowcę, aż się on oddali. Przykładów takich, z którymi często w przyrodzie się stykamy, możnaby przytoczyć bardzo wiele. Ptaki, które posiadają barwy zlewające się z ich otoczeniem, chętnie przyczajają się do ziemi, pnia lub t. p., zapewno wiedzą one, że siedzących spokojnie człowiek nie zauważy. Najchętniej czynią to młode, niemające jeszcze dostatecznie wykształconych lotek, aby móc odfrunąć.

Co do samego ubarwienia piór ptasich, to przyznać trzeba, że każdy nieomal ptak widziany za życia



Lelek-kozodój siedzący na ziemi.

w wolnej przyrodzie, posiada najczystsze i najładniejsze kolory, — już zaraz po śmierci zmieniają się pióra i tracą na piękności swoich odcieni. Widzimy więc, że nietylko ciepło zdrowego ciała ptasiego jest potrzebne do wytworzenia pięknego ubarwienia piór, lecz także świeże i pełne ozonu powietrze. Każdy ptak trzymany w niewoli, nigdy nie będzie miał tak pięknych piórek, jakie posiadałby na wolności, a z biegiem czasu zanikną zupełnie niektóre piękne barwy jego odzieży, jak np. żywy kolor czerwony u samczyka makolągwy (Acanthis cannabina L.), czeczotki (A. linaria Bp.), gila (Pyrrhula vulgaris Bp.) i t. d.

Naogół wszystkie nasze ptaki w przeciwieństwie do tropikalnej fauny ornitologicznej, na pierwszy rzut oka posiadają ubarwienie brunatnawe lub szarawe. Przyjrzyjmy się jednakowoż bliżej, a zauważymy, ile tam jest delikatnych barw, lekko cieniowanych, harmonijnie zlanych kolorów, których po za ptakami nie widzimy nigdzie, — nawet kolory atłasowo-aksamitnych motyli im nie dorównywują.

Dotychczas ornitolodzy nie ustalili, mimo usilnej pracy, czy kolory piór ptasich zmieniają się bez potrzeby wypierzenia się ptaka, czy też wypierzenie jest do tej czynności konieczne. Wielu twierdzi, że wypierzenie do zabarwienia prześlicznych piór w czasie godów miłosnych nie jest potrzebne. Ptak bowiem zmienia pióra przeważnie w drugiej połowie lata, a gody miłosne przypadają u nas na wiosnę. W ciągu jesieni i zimy nie jest on tak pięknie ubarwiony, jak właśnie w wiosennej porze, podczas godów weselnych (bażant!). Ma on już częściowo nasadzone pióra z barwą godową, która przez nieznaczne, brunatnawe i szarawe



Dwa bąki w trzcinach.

brzegi piórek tworzących odzież zimową, jest zakryta.

W czasie zimy, pod wpływem wiatru, powietrza, podczas przekradania się przez haszcze i krzaki, ścierają się owe brunatnawe i szarawe brzegi piór, i gdy wiosna nadejdzie i pora godów weselnych, metaliczne kolory piór samców są już należycie wykształcone.

Jest to jednakowoż hipoteza, która daje ornitologom-badaczom obszerne pole działania, na którem przy pilnej pracy wydrzeć mogą niebywałe jeszcze odkrycia.

Choryń. A. WIŚNIEWSKI.



PRZELOTY.

Najliczniejszą grupę ptaków tworzą ptaki przelotne.

Ponieważ wędrówki te mają jakby zgóry planowo wytknięte drogi, podaję niektóre ciekawe szczegóły rzucające nowe światło na obyczaje tego ptactwa.

Wiele gatunków odbywa corocznie wędrówki, począwszy od jaskółki i przepiórki, a skończywszy na żórawiu i gęsi dzikiej. Są nawet papugi, które odbywają podróże dla znalezienia odpowiedniego klimatu. Starano się wieloma sposobami wędrówki te wyjaśnić.

W r. 1899 Mortensen wprowadził w Viborg'u (Danja) obrączkowanie wędrownych ptaków. Przymocowywał pisklętom do nóg obrączki aluminjowe, opatrzone numerem porządkowym i nazwą miejscowości pochodzenia.

Ptaki te odnajdowano nieraz bardzo daleko od miejsca ich znakowania, co dawało cenne wskazówki, dotyczące ich migracji.

Znana stacja ornitologiczna, założona na wysepce Helgolandzie, na morzu Północnem, ułatwiła Götkemu wydanie w 1891 roku ciekawego dzieła, będącego rezultatem jego pięćdziesięcioletnich, pracowitych obserwacyj.

W tymże celu, Thienemann postawił w Rossithen, na morzu Bałtyckiem, laboratorjum, gdzie przechowują się wszystkie dane, dotyczące wędrówek ptasich.

Maurycy Bonbier omawia bardzo ciekawie szlaki, których się ściśle trzymają rzesze skrzydlate w czasie swych wędrówek.

Można podzielić — pisze Bonbier — owe szlaki na pięć kierunków, które autor nazywa wachlarzami emigracyjnymi.

Pierwszy z tych wachlarzy nazwano Europejsko-Senegambijskim; większa część ptaków z Syberji zachodniej, z północno-wschodniej Europy, ze Spitzbergu i Grenlandji odbywa swą wędrówkę w wachlarzu, którego szczyt dosięga Senegambji.

Zdarza się czasem, iż ptaki Syberji wschodniej przypadkowo zabłądzą na ten szlak, i tym sposobem dostają się do Europy.

Następny wachlarz zwie się Kaukasko-Zambezyjski. Ptaki południowo - zachodniej Europy, Bałkanów i Kaukazu ciągną z końcem lata ku słonecznym dolinom Egiptu, Arabji i Afryki zachodniej, niektóre z nich docierają aż do Natalu.

Trzecim zkolei wachlarzem jest Arabsko - Malabaryjski.

Większa część ptaków, emigrujących z Rosji wsch., z Syberji zach. i Turkestanu, spędza zimę w Beludżystanie, a nawet na wschodniem wybrzeżu Hindostanu (Malabar).

Czwartym wachlarzem Himalajsko-Hinduskim wędrują ptaki, gnieżdżące się w łańcuchu gór himalajskich i w Tybecie, opuszczają je w zimie, by się spuścić na niziny północnego Hindostanu i tam odnaleźć ciepło.

Wachlarz Syberyjsko-Malajski jest z rzędu piątym i największym.

Ptaki, gnieżdżące się w Syberji, między Jenisejem a Kamczatką, jak również nad rzekami Amuru i Mongolji, uciekają przed mrozami północy do Japonji i Chin, na wyspy Filipińskie, do Kochinchiny, docierając nawet do Australji.

Po za tymi szlakami pierzastych wędrowców, należy jeszcze wymienić główny szlak ptactwa, zamieszkującego Amerykę, gdzie sezonowy ruch emigracyjny odbywa się wyłącznie ponad terytorjum Nowego Świata, z północy na południe i z powrotem.

W Polsce jak i w innych krajach, głównymi szlakami przelotów są biegi rzek (nie mówiąc już o wybrzeżu morskiem).

Nad Wisłą, w Lubelskiem obserwowałem w czasie ciągów wiosennych duże ilości gęsi dzikich. Ciągi te trwały dłużej niż w innych okolicach Polski. W Kieleckiem np. przeloty naogół są słabe.

Ważniejszymi szlakami są tu rzeki Pilica i Nida o wybrzeżach torfiasto-bagnistych.

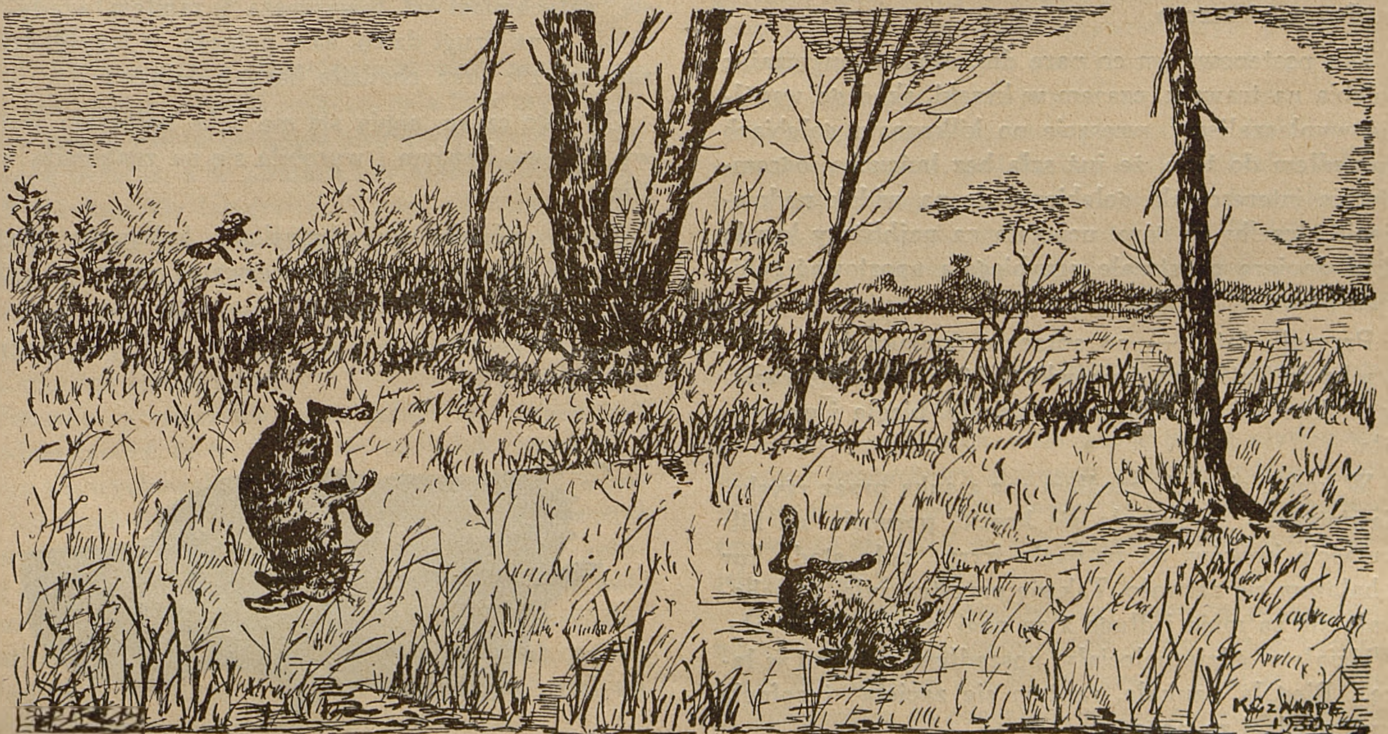
Obserwacje nad ptactwem wędrownem wykazały, iż jedne okolice stale są przez nie omijane, natomiast inne ściągają niezliczone ich rzesze, wśród których spotyka się często okazy rzadkie, nienotowane w innych krajach Europy. W Węgrzech np., obfitujących w wielkie ilości rozmaitych odmian ptactwa przelotnego (szczególniej na stepach Hortobagy - Puszty), zauważono w latach 1899—1911 mało znany gatunek gęsi (Anser neglectus), zwanej popularnie gęsią Suszkina.

Gęś ta przebywa przeważnie na północy Rosji syberyjskiej, nad rzeką Jenisejem, przeto naturalnym szlakiem jej wędrówek winien być wachlarz Syberyjsko-Malajski, nie zaś Europejsko-Senegambijski.

Jest to tembardziej dziwne, iż ptactwo przelotne wędruje zwykle utartymi szlakami, rzadko z nich zbaczając. Trudno przypuszczać, by w danym wypadku powodowało niem pragnienie przygód, prawdopodobnie przyczyn tego zjawiska należy szukać w złych warunkach i zaburzeniach atmosferycznych.

Tak więc, dzięki sumiennie prowadzonym badaniom, poznajemy coraz lepiej obyczaje tych niestrudzonych migrantów, którym instynkt zastępuje znajomość geografji, a łatwość orjentowania się w bezkresnych przestworzach nieraz wprowadza w podziw świat naukowy.

PAWEŁ KOZŁOWSKI.



JAK UKŁADAĆ WYŻŁY BOJĄCE SIĘ STRZAŁU.

Wychowałem sobie młodą pointerkę, rasową, posłuszną, aportującą, z ogromnym temperamentem i węchem — słowem, posiadającą wszelkie zalety, jakich od młodego psa żądać można. Miała już rok skończony, gdy odkryłem w niej ogromną wadę, — bała się strzału. Jakoś wiosną, strzeliłem w podwórzu do wrony. Był wtedy ze mną drugi jeszcze pies, niemyśliwski, — ten na odgłos strzału — w nogi; Kania (takie jest imię pointerki) za nim do domu. Spostrzegłem to i chciałem ją przyzwyczaić; wywołałem ją na dwór i znów strzeliłem. Uciekła natychmiast, a potem już na widok strzelby chowała się pod schody, pod łóżka...

Miałem już raz w życiu sukę, również pointerkę, kupioną, dwuletnią, nieułożoną; kupiłem ją dla urody i pochodzenia. Strasznie się bała strzału, nawet widoku strzelby; kryła się, gdzie mogła, piszcząc ze strachu, a jednak cierpliwością zrobiłem z niej wyborną wyżlicę.

Teraz, przeto, nie przeraziłem się zbytnio, musiałem się przygotować jednak na duży zasób cierpliwości i kłopotu, aby ją przed sezonem oswoić ze strzałami.

Jak to robiłem, opiszę, bo coraz częściej teraz słyszeć się daje ubolewania nad tą wyżlą wadą.

Otóż kupiłem od chłopaków kilkanaście gołębi, poprzycinałem im pióra w skrzydłach, żeby nie mogły daleko frunąć, wziąłem 2 do koszyka i ze strzelbą i suką na łańcuchu, bo wcale iść nie chciała, wyszedłem do ogrodu. Uwiązałem Kanię do drzewa i puściłem gołębia, który zaczął podfruwywać. To wzbudziło zainteresowanie Kani, gdy jednak podniosłem strzelbę, zaczęła się tak szarpać, że byłem w strachu, czy sobie łba nie urwie. Strzał, — gołąb leży, ale suka też leży ze strachu i piszczy.

Odstawiam broń (to konieczne), głaszczę, zachęcam i oboje po chwili podchodzimy do zabitego gołębia. Obwąchała go, wzięła w pysk, ciągle jednak bardzo wystraszona.

Tak postępowałem co parę dni, czasem puszczając gołębia na trawnik, czasem w krzaki, skąd go wspólnie wypłaszaliśmy, wreszcie po kilkunastu gołębiach doszedłem do tego, że już szła bez łańcucha, ogromnie się interesowała gołębiem, ale na widok podniesienia strzelby w górę, uciekała za najbliższy krzak, skąd dopiero po strzale przybiegała aportować zabitego ptaka.

Przyszło lato, — po sprzęcie rzepaku brałem ją z sobą na linijce na turkawki, zejść jednak nie chciała, dokąd nie strzeliłem; po strzale, biegła i przynosiła.

W końcu sierpnia szedłem raz z suką przez rżysko. Zawietrzyła — zaczęła się kręcić, posunęła się kilkanaście kroków, aż tu nagle frrrr... całe stado kur z hałasem się zerwało. Tak się przestraszyła, że schowała się za mnie i długo z za nogi wyjść nie chciała. Widziałem, gdzie poleciały, poszedłem za niemi w łąkę. Biegała, szukała, raptem się zacięła i cofnęła czemprędzej za nogę.

Wypychałem ją — na nic — poszedłem w to miejsce, — o parę kroków siedziała pojedynka, schodziłem potem łąkę raz przy razie, wypłoszyłem kilka kur, za każdem zerwaniem się suka kładzie się i chowa za mnie.

Wtedy spróbowałem jednego, bardzo niebezpiecznego dla młodych wyżłów, środka: zacząłem ją brać z sobą w pole, jadąc konno. Parę razy jeszcze, poczuwszy kuropatwy, wracała za konia, ale ja ostro nacierałem, wypłaszałem, uważałem, gdzie polecą, znów tam jechałem i po paru dniach, otrzaskałem ją o tyle z zapachem i odgłosem zrywających kuropatw, że nie cofała się w tył, lecz owszem, z zapałem szukała.

Pierwszego września wziąłem pierwszy raz strzelbę. Na owsisku znalazła stado,—wystawiła,—umyślnie nie strzeliłem, obserwując pilnie, gdzie usiądzie pojedyncza. Odnalazła ją szybko, — strzeliłem, spadła. Suka przywarowała i nie chciała się ruszyć. Potrochu ją namówiłem, pobiegła, znalazła, strasznie się ucieszyła i przyniosła, lecz więcej szukać nie chciała. Posiedziałem z pół godziny, poczekałem, aż się uspokoi, i zaczęliśmy znów szukać. Szukała dobrze, do czasu zawietrzenia kuropatwy, poczem kładła się na ziemi i nie było sposobu ją popchnąć naprzód. Musiałem iść pierwszy, — po strzale wybiegała, doskonale odszukując i aportując. Coś na trzeci dzień zaczęła iść redliną, prowadząc bardzo wolno, ale już był to postęp duży.

Piątego września wypadło mi polować z sąsiadem posiadającym dobrego, choć za ostrego i nieco goniącego psa. Choć starałem się trzymać zdaleka, zdarzyło się jednak tak, że Kania zawietrzyła i położyła się, a ten pies to spostrzegł, w tej chwili przybiegł,— ostro natarł i ruszył kury. Obserwowałem, jak z podziwem Kania przyglądała się temu, a gdy jeszcze raz za postrzeloną kurą tamten ją ubiegł, dała spokój skromności i zaczęła chodzić odważnie. Odsunąłem się natychmiast od towarzysza i zabiłem wtedy 10 sztuk, a na drugi dzień, sam polując, w trzy godziny zabiłem 19; suka chodziła bardzo dobrze.

Od tego czasu, nigdy się nie bała, nabierała wprawy z dniem każdym i wyrobiła się na znakomitą wyżlicę.

Tak to cierpliwość i obmyślona kolejność postępowania oraz liczenie się z nerwami wyżła — może dać wyborne rezultaty.

H. RUDZKI.

Gorzków.





WOLNA TRYBUNA.

W SPRAWIE ODSTRZAŁU ZWIERZĄT W PORZE GODOWEJ.

Niema dwóch zdań, że panowie, którzy zabrali głos w tej sprawie, a ostatnio na łamach „Łowca P." Nr. 45 (649) z listopada r. 1931 w sprawie ochrony przyrody i odstrzału jeleni podczas rykowiska, mają bezsprzecznie, ze swego stanowiska, teoretycznie rację.

Mam jednak wrażenie, że ci panowie nie zastanowili się dostatecznie, jak ta ich teorja wygląda w praktyce.

Gdyby myślistwo było tak proste, jak pójście do kurnika, albo chlewka, wybranie najtłustszej sztuki i ubicie tejże, w celu uzyskania pożywienia, nie byłoby dyskusji. Trudności jednak, piętrzące się przed myśliwym, są tak wielkie, że lata całe, całe życie, niejeden wytrawny myśliwy czeka na ubicie rekordowego jelenia, lub kapitalnego rogacza, a do strzału nie dochodzi.

Zwierz z wiekiem nabiera coraz więcej instynktu samozachowawczego, staje się coraz więcej ostrożnym, a wciąż narażony na niebezpieczeństwa, coraz zgrabniej się kryje, coraz bardziej unika światła dziennego i otoczony jest samicami, bacznie pilnującemi jego całości i bezpieczeństwa.

U ptaków też kura przeważnie utrudnia myśliwemu podchód, zdradza go i skłania koguta do odlotu i ucieczki.

Gdy który myśliwy zdobędzie wspaniały wieniec jeleni, lub pyszne parostki rogacza, cała brać myśliwska jest w ruchu, zainteresowanie niebywałe, zjeżdżają się oglądać trofeum, a w pismach łowieckich i ilustrowanych zjawiają się fotografje. A więc zdobycie rekordowego okazu nie jest corocznym wypadkiem. Jaki w tem stosunek do ilości polujących myśliwych? Jaki z nich procent zdobywa rekordowe okazy? I właśnie tam, gdzie padają najgrubsze jelenie, najlepsze rogacze, stan ich jest najlepszy.

Panowie przyrodnicy raczą, zdaje się, zapominać o jednej rzeczy, że ten kapitalny jeleń lub rogacz, nim takim się wychował, a miał już przy urodzeniu w sobie ten zasób sił żywotnych i odrodczych — nim został kapitalnym — nim został przypadkowo ubitym, spłodził całe generacje w swem najlepszem, młodem, pełnem sił żywotnych, rozwoju, a pytanie jest, czy, doszedłszy do swego maksimum, nie byłby już gorszą odradzał progeniturę. Czas jego się skończył, stał się godnem trofeum swego hodowcy i opiekuna.

Wiadomo, że jeleń do pewnego tylko wieku nasadza coraz to nowe odnogi, na schyłku zaś jeżeli nie traci na grubości poroża, to zmniejsza się u tegoż ilość kończyn, staje się wstecznikiem.

W umiejętnie prowadzonych łowiskach, odstrzeliwuje się sztuki nieodpowiednie do hodowli, chore, nikłe, ze złym gatunkiem poroża. A czyż nie jest naturalnem, że nim natura sama sztukę chorą, lub staruszka sprowadzi na cmentarz zwierzęcy, lub też niedołęga padnie od zębów drapieżnika, ten jego opiekun i hodowca celnym strzałem skróci mu nić żywota, a nagrodzony będzie, że tyle lat nim się zajmował, opieką otaczał, karmił i bronił?

Czy panowie przyrodnicy zastanawiają się nad tem, że jeżeli zabierze się właścicielowi łowiska możność korzystania z owoców jego opieki i pracy, zabierze mu się tę podnietę myśliwską? Czy z równą ochotą przy znacznych kosztach i wstrzemięźliwości co do ilości odstrzału, będzie on taką samą pieczą otaczał swój rewir? Być może! Biorąc jednak rzecz po ludzku, że zmniejszając zainteresowanie, zmniejszy się opieka, panowie przyrodnicy dojdą do przekonania, że gorszem złem jest przesadnie drastyczne postawienie kwestji, niż pozostawienie prawowiernym przed Panem Bogiem, myśliwym (bo tylko o takich może być mowa) odstrzału zwierzyny w swoim rewirze.

Co innego, gdyby panowie przyrodnicy żądali stworzenia rezerwatów, pod bardzo ścisłą, subtelną ochroną, w której wogóle polować nie wolno (Ameryka tym systemem osiągnęła świetne rezultaty). W takich rezerwatach tworzy się pepiniera dalszej rozmnoży fauny, która przy szerszym rozwoju zasila dalsze tereny.

Odstrzał tak zwykle nielicznych sztuk w porze godowej nie ma wpływu na zmniejszenie zwierzostanu i na dobrość gatunku, o ile jest w miarę przeprowadzony i procentowy stosunek obu płci odpowiednio utrzymany. Po wojnie, jeleni w naszych Karpatach prawie że nie było, na rykowiskach polowano, a dziś jeleni coraz więcej!

A jeśli chodzi o ptactwo, czy panowie przyrodnicy myślą o tem, że na tokowiskach, gdzie tokuje, naprzykład, 20 głuszców, lub 40 cietrzewi, i myśliwi odstrzelą kilka sztuk, to pozostałe, mając mniej sposobności

do staczania walk między sobą, nie sprostają zadaniu stworzenia przyszłej progenitury? Tu nie wybiera się najlepszych osobników. Myśliwsko jest to zanadto skomplikowane, i choćby w wyjątkowo dobrze zorganizowanych polowaniach straż łowiecka znała każdego swego koguta, to między polowaniem a ubiciem jest jeszcze długa gama tonów, które tworzą dysonanse i do akordu nie dochodzi.

Raczcie się, Szanowni Panowie, zastanowić, aczkolwiek Waszą intencję wysoko cenię i z Waszem fachowem zdaniem się liczę, czy nie lepiej pozostawić tę kwestję tym, którym najbardziej zależy na tem, aby mieli na co polować, aby mogli choć raz w życiu zdobyć wspaniałe poroże!

Walkę trzeba staczać z tymi, którzy bezprawnie polują, tępią i niszczą, bo ci niweczą przyrodę, zamęczając biedną zwierzynę, nie licząc się ani z czasem ochrony, ani ze sposobem zdobyczy. Prawdziwy myśliwy nie robi szkody w rewirze, nawet w porze godowej. Partacz i kłusownik jest klęską dla Was, dla przyrody, i dochodów z tej ważnej gałęzi dobrobytu państwowego.

WŁADYSŁAW GARAPICH.

Lwów, listopad.

KORESPONDENCJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

Bawiąc z początkiem bieżącego miesiąca w Zagłębiu Dąbrowskiem, gościłem u p. Stanisława Baera i brałem udział w polowaniu na kury na terenach przez niego dzierżawionych wspólnie z kilkoma myśliwymi. Trzeba przyznać, że jak na chłopskie tereny, kur było sporo. W 6 strzelb w 6 godzin ubiliśmy 214 sztuk, a opolowany teren nie należy do najlepszych. Zwierzostan w okolicach, Zagłębia Dąbrowskiego poprawia się z roku na rok przedewszystkiem dzięki zrzeszeniu się myśliwych i prawidłowemu polowaniu. To znów opiera się na nowej naszej ustawie łowieckiej, która umożliwiając powstawanie zwartych terenów chłopskich, daje podstawy do racjonalnej gospodarki łowieckiej.

Podczas wyżej wspomnianego polowania słyszałem opowiadanie o ciekawem zdarzeniu z życia kuropatw. Mianowicie dr. med. p. E. Januszewicz w Maczkach, zamiłowany hodowca ptactwa, dostał tego roku kilkanaście jaj kuropatwich z wykoszonego gniazda. Czemprędzej postarał się o kwokę i wkrótce coś 10 kuropatewek biegało po ogrodzie, graniczącym z polami. Pewnego razu doktór zauważył dwie stare kuropatwy z jednem małem za płotem. Małe przecisnęło się do ogrodu, przyłączyło do hodowanych, skorzystało z obficie przygotowanego jadła i po pewnym czasie znikło razem ze starymi. Na drugi dzień znów zjawili się goście, ale odchodząc, zabrali z sobą małe kuropatewki z ogrodu. Następnego dnia sztucznie powiększona rodzina zjawiła się o swej godzinie; starki, jak zwykle, pozostały za płotem, maleństwa zaś pożywiały się przygotowanem jadłem. W trakcie tego nadbiegła przybrana matka kuropatewek, kwoka, która poprzedniego dnia jakoś nie spostrzegła chwili opuszczania ogrodu przez dzieci. Ucieszona widokiem pociech, wnet czułem kwokaniem zebrała je pod swemi skrzydłami

Teraz zaczęła się tragedja. Starki rzuciły się do ogrodu i z furją zaatakowały kurę, starając się odwołać małe. Kwoka nie zamierzała dobrowolnie wyzbyć się przybranego potomstwa i walka rozgorzała w pełni. Pomimo fizycznej przewagi kwoki, kuropatwy taktycznie walkę wygrały, gdyż w chwilach zaciekłych ataków koguta, kura wywabiała małe za płot. Po chwili na placu boju pozostało mnóstwo piór, kwoka, oraz dwie małe kuropatewki, które ucierpiały podczas zaciekłej walki. Jedna miała zwichnięte skrzydełko, druga pomimo troskliwych zabiegów kwoki, zdechła.

Zasłużenie cieszy się ród kuropatwi opinją troskliwych rodziców, którą należy rozszerzyć, skoro miłe, szare ptaki miłością nietylko swą rodzinę, ale i swój ród otaczają.

JERZY BŁESZYŃSKI.

KRONIKA MYŚLIWSKA.

ZE SKOLEGO.

W rewirach br. Groedlów w Skolszczyźnie padło w bieżącym sezonie rykowiska 19 jeleni. — Odstrzał powyższy jest procentowo nieznaczny przy obecnym stanie jeleni, uwidocznionym w osobnym wykazie, — i jeśli się nie odstrzeli w najbliższych latach conajmniej 100 t. zw. „sznejdrów", zdegenerowanych 12-staków, 10-taków i 8-ków, których obecny wygląd wyklucza, by w przyszłości mogły dobre wieńce osadzić, — stan jeleni jakościowo jeszcze bardziej podupadnie. — Widziałem dwunastaka, którego wieniec był wysoki najwyżej na 60 cm., a waga z czaszką nie mogła przenosić 3 kg, a takich gałganów coraz więcej się mnoży.

Jest to następstwem zbyt dużej ilości łań i wycieńczenia młodych byków, które osłabiają się do tego stopnia, że wieńce ich coraz bardziej marnieją.

Dzisiejszy stan przerasta ilościowo stan przedwojenny, co powoduje nietylko ogromne szkody w kulturze, ale znaczne obniżenie się stanu jeleni pod względem jakościowym.

Z ubitych jeleni wysuwają się na czoło jako kapitalne.

1) *Dziesiatak* strzelony 24.IX.1931 przez prof. dr. Hansa Heyerowskiego pod Zełeminem o wadze 11 kg. 25 dkg., różach 25,24, grubości 21.20; 5—19. 18—22—21, wysokości 112, 109, rozpięciu 106 — grubości ocznych 17.16.5.

2) *Dziesiątek* strzelony 27.IX przez ks. Hohenlohego w Libochorze o wadze 8.50 kg.

3) *Czternastak* strzelony przez dyr. fabr. Heinricha o wadze 7 kg. 80 dkg. (Kruszelnica).

4) *Czternastak* strzelony w Libochorze (Turezanka) przez dra Rogistera o wadze 7.80 kg.

5) *Dwudziestak* strzelony przez Seweryna br. Brunickiego w Tuchli o wadze 7 kg. 60 dkg. lewa odnoga 8 końców, prawa 11 końców (24.IX).

6) *Szesnastak* strzelony przez wicem. p. Maur. Jaroszyńskiego w Skolem (Zełemin) o wadze 7 kg. 30 dkg. róże po 22 cm. grubość po 16 cm. (24.IX).

7) *Czternastak* strzelony przez Br. Konigswartera w Butywli, Jabłonka, o wadze 6 kg. 90 dkg., szesnastak o wadze 5 kg. 80 dkg. (24 i 27.IX).

8) *Dwunastak* strzelony przez p. Hollitzera wagi 6 kg. (24.IX). Tuchla.

Ponadto padło 6 dziesiątaków i jeden 8-mak o wadze poniżej 4 klg., 3 dwunastaki o wadze 4 klg. do 5 klg. 20 dkg.

Dnia 23.IX spadł śnieg, poziom jego na wirchach wynosił od 30 cm. do 50 cm. W dniach 28 i 29 była śnieżyca.

Wskutek przymrozków utworzyła się wierzchem trzeszcząca warstwa, która utrudniała podchód. Śnieg trzymał do 2.X. Ilość jeleni ryczących w przybliżeniu wedle raportów, sięgała do 300 sztuk.

Wykaz jeleni i łań z cielętami, które na zrębach policzono:

	Jeleni	Łań	Cieląt
Skole	41	220	76
Hrebenów	52	125 ?	41
Tuchla	40	90 ?	25
Różanka	17	53	7
Oporzec	3	8	5
Huta Korostoska	62	158 ?	72
Butywla	115	177 ?	64
Kruszelnica	105	172 ?	72
	435	1003	362

Najprawdopodobniejszy obraz stanu jeleni daje cyfrowo tylko Skole, Rożanka i Oporzec.

W innych rewirach trzebaby procentowo conajmniej pięciokrotnie stan łań podnieść, by dojść do możliwie prawdziwych cyfr.

Rewiry, jak Hrebenów, Tuchla, Huta, Butywla, Kruszelnica, mają mało zrębów, na których łanie policzono, — natomiast brak cyfr z kultur i starych drzewostanów, wśród których przeważnie rykowisko się odbywa, a gdzie kontrola i cyfrowe ustalenie nie dadzą się przeprowadzić.

W przybliżeniu stan łań przewyższa 2.500 sztuk, — jeleni dochodzi do 600 sztuk. Że do rachunku z otwartych miejsc i zrębów żadnej wagi przywiązywać nie można, wykazuje także mylna proporcja ilości cieląt do łań, z wyjątkiem Skolego, Tuchli, Rożanki i Oporca.

Przyjmując cyfrę 3.500 sztuk (wedle mego zdania, jest ona jeszcze za skromna), zbliżymy się mniejwięcej do prawdopodobnej cyfry stanu obecnego jeleni. Na 100 ha. wypada przeciętnie 10 do 12 sztuk.

ST. W. ORSKI,
del. na pow. Skole.

— r — W dn. 11 i 12 listopada odbyło się polowanie w dobrach Słupskich ks. Macieja Radziwiłła. Zabito szt. 398, w tem zajęcy 377, słonek 4, lis 1, kuropatw 14 i 2 różne. Polowano tylko w lesie miotami i małymi sztreifami w 6 strzelb. Królem był p. Marcin Popiel z Kurozwęk, mając 77 szt.

Powyższy rezultat osiągnięto na terenach dawniej nigdy nie opolowanych, dzięki starannej opiece miejscowego leśniczego, p. K. Zajączkowskiego i p. J. Sokołowskiego — łowczego.

— j — W dn. 9 listopada r. b. odbyło się polowanie w majątku Krubki pani Z. Arkuszewskiej, przy udziale 14 strzelb. Padło 94 zające, 12 kur, lis i słonka. Królował p. Antoni Rychłowski.

— sr — W dn. 10.X 1931 r. odbyło się polowanie na kuropatwy z naganką w 8 strzelb w maj. Skrzydłów. Przy niekorzystnych warunkach atmosferycznych padło 426 kuropatw. Polowanie było zorganizowane i prowadzone bez zarzutu.

W dn. 6.XI 1931 r. odbyło się na tym samym terenie w 7 strzelb polowanie na zające i kuropatwy. Padło 115 zajęcy, 78 kuropatw, 6 bażantów i 1 cietrzew.

W dn. 7.XI 1931 r. odbyło się polowanie w rewirze leśnym Wiercica dóbr Garnek na zające i króliki. W 5 strzelb zabito 4 bażanty, 96 królików i 54 zające.

— es — Dnia 9.XI r. b. na polowaniu w lesie maj. Hołubie, pow. Hrubieszowskiego, wł. p. Eustachego Świeżawskiego, ubito w 11 strzelb 76 zajęcy, 3 lisy. 4 bażanty, 4 kuropatwy i 2 jastrzębie. Dzików widziano 11, lecz uszły kuli. Królował Jan hr. Szeptycki, mając na rozkładzie lisa, 9 zajęcy i 2 bażanty.

BIBLJOGRAFJA ŁOWIECKA.

„Łowiec" lwowski w N-rze 19 przypomina na czele numeru panom delegatom, że teraz należy rozesłać dzierżawcom polowań wspólnych i właścicielom polowań własnych, formularze do sporządzenia statystyki za czas od 1 marca 1931 r. do 28 lutego 1932 r.

Dalej wydrukowano artykuł o międzynarodowych zawodach strzeleckich we Lwowie 1931 roku, zawierający 2 rozdziały: I strzelanie do jelenia ruchomego i II strzelanie do rzutków. W zakończeniu wytknięto jednemu z uczestników „polską lekkomyślność". Albowiem „choć jest on znakomitym strzelcem, powinien się był poddać treningowi i zaopatrzyć w stosowną do swej broni i wypróbowaną przez siebie amunicję, a nie przeprowadzić z nią próby dopiero na zawodach".

W odcinku red. Albert Mniszek wydrukował feljeton o tem, jak duch wisielca dopomógł autorowi do ubicia kapitalnego kozła.

Ks. Ludwik Niedbał pisze o celowniku jako części składowej sztucera myśliwskiego.

Beletrystyczny opis polowania na pardwy p. Jerzego hr. Potockiego nosi tytuł „Królowa mszarów".

Dalszą beletrystykę reprezentują: Jarosław Hubalek („Pustelnik z pod Sokolej Skały") w przekładzie z czeskiego, dokonanym przez p. Wł. Karnkowskiego, oraz Mistrz Rotmistrz dalszym ciągiem „Dalipan nie łżę" z podtytułem „Nie czyń drugiemu co tobie nie miło".

P. A. Sander zamieścił tłumaczenie referatu Jana hr. Hartiga o ochronie ptactwa przelotnego. Referat ten został wygłoszony na II sesji zjazdu „Conseil International de la Chasse", odbytego w roku bieżącym w Paryżu.

O ptakach drapieżnych, których tępić nie należy, pisze p. A. M., zaliczając do nich oba sępy, oba orliki, pszczołojada, sokolika rdzawonogiego, pustułkę i pustułeczkę, oraz oba myszołowy i wszystkie sowy, z wyjątkiem uralskiej i puhacza.

Numer wypełniają pomniejsze rubryki i sprawozdania.

WIADOMOŚCI HANDLOWE.

— **Z rynku futer.** — Giełda londyńska, jako centralne źródło zakupów światowych, reguluje ceny rynkowe. W chwili obecnej na światowej giełdzie futrzanej obserwujemy zwyżkę cen na skunksy, staniały natomiast elki i lisy. Nasza hodowla nie jest jeszcze na takim poziomie, aby nasze futra na giełdzie światowej miały odpowiedni walor. Dobre futra utrzymują się w cenie dotychczasowej i nie należy się łudzić, ażeby staniały. Upadek rolnictwa i ciężka sytuacja spowodowała, że wieś, dawniej wielki odbiorca futer, dziś wcale, a przynajmniej bardzo mało kupuje, ograniczając się i poprzestając na tem, co posiada jeszcze ze starych, dobrych czasów.

— **Tanie gatunki futer.** — W obecnych czasach klientela może sobie na skalkulowane przystępnie futro w zupełności pozwolić. Jeśli chodzi o ostatnie nowości sezonu, to jonaty są niezmiernie trwałe, tak, że można je nosić przez 5 — 6 lat, a kosztują tylko 475 zł. Również wielkiem powodzeniem cieszą się w tym roku koty syberyjskie, cena 300 zł. Ładne źrebaki ze skunksami można nabyć już za 480 złotych. Piżmowce ładne są już po 500 zł., a foki po 350 zł. Piękne karakuły z popielicami można otrzymać za 1.200 zł. A wogóle futerko można nabyć już za 200 zł.

Średniowieczny alchemik

starał się wykryć „kamień mądrości", którego czarodziejska siła byłaby w stanie leczyć wszelkie choroby i kalectwa. Postępy w poznawaniu granic naszych możliwości sprawiły jednak, że ludzkość stała się skromniejszą w swych życzeniach. Dziś wiedza współczesna jest już dumna z tego, że wykryła lekarstwa skuteczne na określone choroby.

Jedynym z wielkich tryumfów nauki było wykrycie środka leczniczego, który okazał się skutecznym przy licznych chorobach i który pod nazwą **Aspiryny** szybko rozpowszechnił się po całym świecie. Rozpowszechnienie to było jednak całkowicie usprawiedliwione, gdyż działanie Aspiryny jest tak znakomite i tak wielostronne, jak prawie żadnego innego środka leczniczego.

Bóle głowy, zębów i kończyn, reumatyzm, grypa, oraz wogóle wszelkie zaziębienia — oto cierpienia i choroby, przy których Aspiryna działa w sposób tak swoisty, jak tego żadne z licznych naśladownictw osiągnąć nie jest w stanie. Oryginalną Aspirinę w postaci tabletek nabyć można w każdej aptece. Każde opakowanie i każda tabletka noszą jako znak ochronny, krzyżowy napis Bayer.

Redaktor: **Walenty Włodzimierz Garczyński.** Wydawca: **Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.**

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł. Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: za tekstem milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom niewolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą a 5- pop. W redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

Prośba do PP. Prenumeratorów.

Do numeru dzisiejszego załączamy oprócz zwykłego przekazu P. K. O., jeszcze jeden, w nadziei, że życzliwi zechcą wręczyć zbywający przekaz swoim znajomym myśliwym w celu zachęcenia ich do zaprenumerowania „Łowca Polskiego".

Prenumerata na rok 1932.

Do dzisiejszego numeru „Łowca Polskiego" załączamy dla wszystkich PP. Prenumeratorów przekazy P. K. O. 80-82, w celu ułatwienia przesyłki prenumeraty na rok 1932.

W interesie PP. Prenumeratorów leży jaknajwcześniejsze nadesłanie opłaty, o ile chcą regularnie otrzymywać pismo.

OGŁOSZENIA DROBNE

Do sprzedania pies irland, półroczny. Wiadomość: Żółta Karczma, tel. 8-55-84.

Nadleśniczy lat 44 z długoletnią praktyką i wyższem wykształceniem zamiłowany myśliwy i znawca hodowli zwierząt łownych oraz urządzania rozmaitych łowów, przyjmie stanowisko w prywatnych większych majątkach. Specjalność urządzenie, eksploatacja i łowiectwo. Łaskawe oferty upraszam o skierowanie pod adresem: Wilno, Redakcja gazety „Słowo", Zamkowa 2. „Nadleśny Łowczy".

Najlepsze polowanie na drobną zwierzynę w Poznańskiem, odstrzał 1930 r. 3000 sztuk, z powodu śmierci na 3 lata do wydzierżawienia. Kolej w miejscu. Warunki bardzo korzystne. Zgłoszenia do Eksp. „Łowiec Polski".

Nadleśniczy z wykształceniem fachowem i długoletnią praktyką w intensywnych majątkach, rutynowany w przemyśle drzewnym, zamiłowany hodowca zwierzyny, zmieni posadę od 1/IV 1932 r. lub wcześniej. Poważne referencje i bardzo dobre świadectwa. Oferty kierować poczta Wohyń Podlaski dla Nadleśniczego za okazaniem dowodu osobistego Nr. 580849.

Poszukuje się bażantarnika, ślązaka, pierwszorzędną siłę, do sztucznego i dzikiego chowu bażantów. Oferty. Józef Hercik, Dyrektor lasów Łochów.

Sprzedam kilka szczeniąt, irlandzkie setery, z premjowanej suki po psie importowanym z Irlandji. J. Wajand. Katowice, ul. Wita Stwosza 6.

Wyżlica niemka, 10 miesięcy oraz 2 szczeniaki tejże rasy 3-miesięczne sprzedam. Wiadomość u Br. Ceranowicza, Al. Jerozolimskie 22—15 telefon 435-73.

Żywe bażanty, zające, dzikie króliki, kuropatwy oraz rośliny pastewne dla zwierzyny i sadzonki leśne poleca Zarząd lasów XX. Czartoryskich Nadleśnictwo Babki, poczta Krzesiny, Wielkopolska. Prosimy żądać bezpłatnych cenników.

1 dzika trzyletniego i 4 lochy dwuletnie, zakupi zaraz Koło Miłośników Łowiectwa. Oferty: Warszawa, ul. Miedziana Nr. 4-a. Józef Skrzypek.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.